

KAZIMIERZ WYBRANOWSKI

ROMAN DMOWSKI



W POŁOWIE DROGI

Kazimierz Wybranowski
(Roman Dmowski)

W POŁOWIE DROGI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-34-5

Projekt okładki: Olga Bołdok

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści

[Rozdział 1](#)

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

[Rozdział 10](#)

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

[Rozdział 20](#)

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

[Rozdział 24](#)

Rozdział 1

Borowskim miotała wściekłość. Chwilami słabła ona z wyczerpania, i wtedy zaczynała go pożerać czarna rozpacz.

W tym stanie duszy ludzie czasami w łeb sobie walą. I on o tym myślał, ale myśl jego nie zatrzymała się na tak prostym i łatwym rozwiązaniu.

Nie uważał się za głupca i wierzył, że będzie umiał coś mądrzejszego wymyślić; nie użył dotychczas życia i chciał żyć; czuł w sobie dużą siłę i chciał walczyć; miał rodzaj miłości własnej, który mu nie pozwalał uznać się za zwyciężonego. Jednakże fala przeciwna zaczynała go znosić – w gorszych chwilach tracił wolę opierania się. Nie chciał się sam przed sobą do tego przyznać, ale patrzył w jutro z coraz większym strachem.

Cierpiał bardzo, a nic mu takiego bólu nie sprawiało, jak fałszywe, czy szczere politowanie ze strony ludzi którzy mu do niedawna zazdrościli.

Zaczął już żyć bez planu, poruszać się bez celu, unikać własnych myśli, uciekać przed samym sobą.

Tego dnia wstał koło południa, bo do piątej nie mógł zasnąć. Wstał z jakimś tchórzliwym uczuciem: bał się dnia, który trzeba było rozpocząć.

Zjadł raczej ze zwyczaju, niż z potrzeby śniadanie, które mu przygotował Franek, dawny jego ordynans, obecnie prywatny służący, po czym ubrał się i wyszedł na miasto.

Miał być w biurze u jednego ze znajomych, który mu przyrzekł pomoc w znalezieniu płatnego zajęcia, ale mu się nie chciało. Właśnie wrócił świeżo z dwutygodniowej wędrowki po kraju; zgłaszał się do rozmaitych przedsiębiorstw, które mu wskazano: wszędzie odmowa. Nabrał wstrętu do narzucania swej osoby ludziom, którzy jej nie chcą. Już nie mógł zdobyć się na nowy krok, przynoszący nowe upokorzenie.

Zamiast tego włóczył się bez celu. Chodził po ulicach, posiedział w kawiarni, wreszcie popędził przed siebie wyciągniętym marszem, jakby go kto gonił. Szedł, nie oglądając się i nie zatrzymując; znalazł się za rogatkami Jerozolimskimi i szedł dalej, a śnieg z deszczem, który zaczął chlapać, jakby dodawał mu bodźca. Gdy się zaczęło zmierzchać, skręcił jakąś pełną drogą ku Wiśle; brnął po kostki w błocie, w końcu wrócił do miasta drogą Wilanowską, pokrytą błotem od dołu do góry.

Chciał się zmęczyć, tak zmęczyć, żeby przestać myśleć. Nie udało mu się... Czuł wprawdzie trochę zmęczenia w nogach, ale głowa ciągle pracowała, jałowo, niezdolnie. Ciągle wkoło te same myśli przeżerały mu mózg, bez bólu fizycznego; ale to, co czuł, było stokroć gorsze...

Niedawno jeszcze należał do najzdolniejszych ludzi w armii, szybko awansujących; był oficerem młodym, trzydziestoletnim, w randze podpułkownika generalnego sztabu; miał przed sobą świetną karierę wojskową: dziś jest niczym, żebrakiem o posadę. Przed kilku tygodniami wszyscy go uważali za zdobywcę Oli, najpiękniejszej dziewczyny w Warszawie, która dla niego odrzuciła cały rój adoratorów, której rodzice widzieli w nim dobrą partię: wczoraj, gdy do nich poszedł, drzwi mu przed nosem zamknięto... Czuł się bezgranicznie nieszczęśliwy i w swym nieszczęściu śmieszny. Jak to się szybko wszystko zaważyło, jak się nagle stosunek ludzi do niego zmienił. Wczoraj go podziwiano – dziś go lekceważą...

Było przeszło wpół do ósmej, kiedy oczy, nawykłe przez kilka godzin do ciemności półpodmiejskich, zaczęły go boleć pod razami reklam świetlnych knajp i kinematografów. Przeciskał się apatycznie przez gęsty tłum na chodniku Nowego Świata, gdy poczuł, że go ktoś bierze pod rękę. Jednocześnie usłyszał znajomy, ale dawno niesłyszany głos:

– Władek, coś ty taki zabłocony!

Spod jego pachy wyskoczył pocieszny mały człowieczek, w kapeluszu nasadzonym zawadiacko na tył głowy, w paltocie ultra – angielskiego kroju i w świecących jak lustro lakierkach.

Borowski, jak obudzony ze snu, otworzył szeroko oczy:

– To ty, Antek?...

Od lat nie widział Pawłowicza, swego przyjaciela i nieodłącznego towarzysza czasów gimnazjalnych i uniwersyteckich.

Uściskali się.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, gdzie się tak zabłociłeś...

– Byłem na przechadzce za miastem.

– A dokąd teraz idziesz?

Borowski się zająknął:

– Ja?... dokąd?... Albo ja wiem?...

Pawłowicz wbił w przyjaciela swe małe, świdrujące oczka i pokręcił głową.

– Więc ty nie wiesz, dokąd idziesz, ja zaś miałem iść do teatru, a mogę nie iść. Z tego wynika, że możemy razem spędzić wieczór. Zapraszam cię na kolację, dobrze?

Ruchem łaski zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, wepchnął w nią niezdecydowanego Borowskiego i dał szoferowi adres znanej restauracji.

– Ależ, jak ja wyglądam! – protestował Borowski. – Przecież tak się pokazać nie mogę.

– Głupstwo! – oczyszczą cię, zresztą każemy sobie dać gabinet. Cóż porabiasz?

Dlaczego chodzisz po cywilnemu?...

– Wystąpiłem z wojska.

– Co? Mówiono mi, że jesteś taki zapalony do służby, że cię uważają za przyszłą znakomitość wojskową.

– Formalnie biorąc, wystąpiłem; faktycznie, wyrzucili mnie.

– Jeszcze jeden! – mruknął Pawłowicz. – Dobrze się bawią! I cóż teraz robisz?

– Szukam posady.

– I znajdziesz?

– Chyba nie...

Samochód zajechał przed restaurację. Borowski się umył, oczyszczono go z błota, o ile to było możliwe. Pawłowicza znalazł w gabinecie, do którego dochodziły stłumione dźwięki muzyki z dancingu. Zajęty był zamawianiem kolacji, co czynił z widoczną znajomością rzeczy i zrozumieniem jej wagi.

Odprawił kelnera i zwrócił się do Borowskiego:

– Od ilu to lat nie widzieliśmy się? Od początku wojny... to znaczy od dwunastu i pół. Zdawało się, że się nasze drogi rozeszły raz na zawsze, a mam w tej chwili wrażenie, że się prawie nie roztawaliśmy... Musimy się nagadać. Od trzech dni dopiero jestem w Warszawie. Blisko półtora roku włóczyłem się po kuli ziemskiej. Poznawałem świat, ludzi, przyglądałem się teatrowi w różnych krajach. Czy wiesz, że piszę dla teatru?

– Jakżeby nie wiedział o tak głośnej osobie. Byłem na twoich dwóch ostatnich komediach. Są świetne.

– Jest ich wszystkiego trzy. Czwartą przywiozłem gotową z drogi. Tamte zapłaciły mi podróż. No, ale mniejsza z tym. Zanim zaczniemy opowiadać sobie swoje dzieje, musimy się zająć tym, co najpilniejsze. Jak wygląda twoja sytuacja materialna?

– Żle.

– Z gotówką krótko, z posadą pilno, prawda?... Zostało mi trochę pieniędzy z drogi – na razie tym się podzielimy. Ale coś musimy znaleźć zaraz. Wiesz co, dla ciebie jest zawsze jedno wyjście: póki się coś lepszego nie znajdzie, weź się do dziennikarstwa.

– Nie mam teraz do tego głowy i mało jest rzeczy, na których się naprawdę znam.

– Głupstwo. A któż tam się zna na tym, o czym pisze. Głowa zaś twoja w najgorszych nawet okolicznościach da więcej, niż wiele innych... Już mam. Zadzwoń zaraz do Wiśniewskiego – może o nim słyszałeś, redaktor „Echa Codziennego” – żeby tu do nas przyszedł. On pewnie jest teraz w redakcji.

Ostatnie słowa wyrzekł w drodze do drzwi. Wybiegł z gabinetu, zanim Borowski zdołał słowo przemówić. Borowski nie wiedział właściwie, co powiedzieć: z jednej strony bał się dziennikarstwa, z drugiej – pociągała go myśl, że przestanie szukać zajęcia.

Pawłowicz za chwilę wrócił, Wiśniewskiego w redakcji znalazł i wziął od niego przyrzeczenie, że przyjdzie za kwadrans. Czekali więc na niego z kolacją.

Zaczęli rozmawiać, chodząc dookoła stołu.

Kto by z boku na nich patrzył, musiałby przyznać, że trudno o większy kontrast, jak tych dwóch ludzi w jednym wieku. Borowski – wysoki, ciemny blondyn, z szaro-niebieskimi oczyma, z regularnymi jak na Polaka, rysami twarzy, uwydatnionymi na skutek wygolenia, smukły, ale mocno zbudowany, widocznie wyćwiczony fizycznie, mógł być uważany za typ piękności męskiej, Pawłowicz natomiast, mały, bez figury, z rozpoczynającym się brzuszkiem, brunet, z małymi, czarnymi oczkami, z twarzą ozdobioną wydatnymi, prawie po mongolsku, kośćmi i szerokim, nieco spłaszczonym nosem, z którą kłóciła się pękata czaszka i szerokie, bombiaste czoło, był wołającą o pomstę mieszaniną, możliwą tylko we wschodniej Europie. Wzmacniała wrażenie mała ruchliwość jego również wygolonej twarzy.

– Pożegnaliśmy się po przyjacielsku w czternastym roku – mówił do niego Borowski – ale się przy tym kłóciliśmy: powiedziałaś, że jestem idiotą.

– Tak, pamiętam, i miałem słuszość. Po kiego diabła lałeś do legionów?

– Zrobiłem głupstwo. Nawet przyznam ci się, że mnie to potem dużo moralnie kosztowało. Ale miało to jedną dobrą stronę: odkryłem w sobie żołnierza. Nie masz pojęcia, jak ja potem, po odbudowaniu Polski – nie przez nas, ale przeciw nam – czułem się szczęśliwy w wojsku. Zabrałem się do pracy, czytałem wiele rzeczy wojskowych, przeszedłem szkołę we Francji. Traktowałem zawód wojskowy na serio i byłem pewny, że Polska będzie miała ze mnie pożytek.

– I pewnie miałyby duży – wtrącił Pawłowicz, który widocznie mocno wierzył w przyjaciela.

– Polityką przestałem się interesować – przekonałem się, że jestem w niej ośłem.

– Ale ona nie przestała się tobą interesować i wyrzuciła cię z wojska. Jak to się stało? coś robił ostatnimi czasy?

– Ostatni rok byłem w Warszawie w Sztabie Generalnym. Przyszedł zamach: starałem się spełnić uczciwie swój obowiązek żołnierski. Wkrótce potem dostałem urlop, o który nie prosiłem. Następnie zdecydowano mnie posłać do powiatowego miasteczka na wschód, na urzędnika od mobilizacji. Nie chciałem tam skwaśnieć, zresztą oburzyło mnie to, więc podałem się do dymisji. I oto jestem emerytem w randze podpułkownika. Ładne stanowisko – krzyknął z wściekłością – dla człowieka, mającego trzydzieści trzy lata!...

Zapukano do drzwi. Wszedł redaktor, a za nim zaraz wniesiono wódki i zakąski.

Pawłowicz od razu zabrał się do sprawy Borowskiego. Wiśniewski potrzebował nowego współpracownika i na Borowskiego widocznie miał ochotę.

Ten wszakże, ku jego zmartwieniu, odmówił pisania o czymkolwiek, mającym związek z polityką, twierdząc, że się na niej całkiem nie zna. Stało na tym, że się zdecydował na dział sportowy, w którym się czuł po trosze specjalistą. To wszakże łączyło się z dosyć skromnym zarobkiem. Umówili się, że nazajutrz przyjdzie do redakcji dla podpisania umowy.

Siedli do kolacji. Pawłowicz z redaktorem opowiadali sobie plotki polityczne, literackie i towarzyskie. Borowski nie słuchał, co mówiono, pogrążył się w swych myślach. Mało jadł, pił więcej i ciągle palił.

Wiśniewski zaraz po kolacji wyszedł, bo mu się śpieszyło do redakcji. Gdy zostali sami, Pawłowicz westchnął:

– Chciałem ci znaleźć coś lepszego, ale ty się uparłeś pisać o sportach. No, mam nadzieję, że ten nieznany przedtem brak wiary w siebie prędko ci minie. Jesteś na coś chory, ale na co? Żebyś ja wiedział.

Po chwili milczenia ciągnął dalej:

– Przyglądałem ci się przez całą kolację – zawsze mi mówiłeś, że jestem z powołania detektywem – i doszedłem do przekonania, że ciebie gryzie jakiś paskudny robak. To coś grubo większego, niż kłopoty materialne, niż nawet myśl o złamanej karierze...

Borowski uparcie milczał.

Pawłowicz, jak się zdawało, uznał, że nic z niego nie wyciągnie... Nagle, w tonie lekkim i wesołym, zagadał:

– Jakąż ja dziewczynę widziałem wczoraj w teatrze. Co za klasa! Siedziała w łoży z rodzicami i z jakimś niewolnikiem. Wszyscy na nią wybałuszali oczy. W drugim antrakcie spotkałem ją i jej niewolnika w foyer i przyjrzałem jej się dokładnie. Z bliska tylko zyskała, śliczna. Wprawdzie czoło trochę za wąskie w stosunku do reszty twarzy, może szczęki trochę za mocne, nosek także niezbyt posągowy, ale oczy, usta, cera, włosy, ta świeżość jakaś urocza... A figura... Greki na klęczkach by ją błagały o pozowanie do Afrodyty. Nic podobnego nigdy w Warszawie nie widziałem. Zakwitła widocznie po moim wyjeździe za granicę. Ale ty ją musiałeś widzieć?...

– Nie wiem – odparł Borowski obojętnie.

– Pytałem znajomych, co to za jedni. Powiedzieli mi nazwisko, którego nigdy nie słyszałem. Jacyś państwo Kobiałkowscy...

Borowski drgnął.

– ... nie – Kubiakowscy.

– Co? – krzyknął Borowski. – Kto z nimi był w łoży?

– Jakiś nawet przystojny dosyć fatygant. Ale widać było, że panna sobie z niego nic nie robi.

Borowski ożywił się nagle, oczy mu się zaświeciły. Pawłowicz uśmiechając się, patrzył to na niego, to w swój kieliszek.

– Masz dobry gust, Władku. Ale nie radzę ci się z tą panną żenić.

– Dlaczego?

– Bo ona nie jest do małżeństwa. Niech się ta fujara z nią ożeni, to będzie lepiej dla ciebie.

– Głupstwa gadasz.

Pawłowicz dalej się uśmiechał.

– No i na co ci się przydało ukrywanie przede mną. Teraz już wiem, jaki to robak cię gryzie. Ale to piękny robak. Wiesz, jaką ty masz głupią minę...

Borowski milczał uparcie.

– A kiedy już tyle wiem, mógłbyś mi i resztę powiedzieć. Może bym ci co pomógł, jeżeli nie czym innym, to dobrą radą. Byłeś zawsze poważniejszy ode mnie, ale ja byłem praktyczniejszy i na ludziach lepiej się znałem.

Borowski ciągle milczał. Pawłowicz zaczął mówić poważnie:

– Słuchaj, Władek, wiesz, jak cię kocham: nie wątpisz chyba, że mi twoje szczęście leży na sercu. Otóż zapewniam cię, że dla zdrowia twojej duszy potrzeba, żebyś z kim o tym pogadał. Z kim tedy, jak nie ze mną? A przysięgam ci, że pary z ust przed nikim nie puszczę.

– O co ci chodzi? – zapytał Borowski.

– Jak ją poznałeś i gdzie?

– Na tenisie. Widziałem ją kilka razy, ale nie znaliśmy się. Spostrzegłem, że zwraca na mnie uwagę. Raz przysłała mego znajomego, który z nią grał, żeby mnie zaprosił do ich partii. Poznaliśmy się i odtąd zaczęliśmy grywać razem. Przedstawiła mnie potem swojej matce, która mi powiedziała, że przyjmują w środy po południu.

– I zacząłeś bywać, z początku w środy, a potem częściej.
– Tak. Zaproсили mnie kilka razy na obiad. Ola okazywała mi, że mnie wyróżnia.
– Ola – mruknął Pawłowicz. – Nieźle imię. No i co dalej?
– Rodzice byli dla mnie bardzo mili. Potem zostawiali nas zawsze samych.
Pawłowicz się wstrząsnął, symulując dreszcz:
– Ach, jak ona musi całować!...
Borowskiemu obłok zasłonił oczy; ale zaraz się opamiętał i nadrabiając miną, rzekł:
– Słuchaj, Antek, jeżeli będziesz małpą, nic ci więcej nie powiem.
– Przepraszam cię, zapomniałem się. Cóż dalej? Potem się to popsulo?...
– Od pewnego czasu Kubiakowscy są dla mnie bardzo zimni, nigdy nie zostawiają mnie samego z Olą, ale ona się nie zmieniła. Jej słowa, jej spojrzenia, jej uścisk ręki – wszystko to mówi, że mnie kocha...
Pomyślał chwilę i mówił dalej:
– Nie mogę tego zrozumieć. Bo Ola jest bardzo śmiała i samodzielna – to zupełnie nowoczesna dziewczyna. W tym, co jej dotyczy, sama o wszystkim decyduje i rodzice nią nie rządzą; właściwie ona nimi rządzi. Bardzo ją kochają i są z niej dumni.
– Tak... to dziwne – mruczał Pawłowicz.
– Ostatnim razem, gdym poszedł do nich, byli w domu, a służący we drzwiach mi powiedział, że nie ma nikogo.
– Powiedz mi, kto to jest Kubiakowski? co on robi?
– Przedsiębiorca budowlany. Wykonuje dużo robót dla wojska.
– Bogaty?
– Nie wiem... zdaje się, że nie. Raczej może jest na drodze do zrobienia majątku.
– Wyglądają na ludzi z małą kulturą.
– Tak... Lecz Ola jest bardzo kulturalna i inteligentna dziewczyna.
– I ambitna?...
Borowski się zawahał:
– Może, ale w dobrym sensie tego słowa.
– A kto to jest Jankowski?
Borowski skoczył:
– Co ty wiesz o Jankowskim?
– To ten typ, co z nimi siedział w łoży.
– To on... – szepnął Borowski.
– Któż to jest?
– Nudny snob. Mówią, że to bardzo bogaty szlachcic. Wygląda niby nieźle, przystojny, dosyć elegancki – ale to flak, bez kręgosłupa. Kocha się w Oli, a ona drwi sobie z niego.
– Hm... Można by zrobić z tego wcale niezłą komedię. Poszła by z kilkadziesiąt razy, a może więcej.
– Jak to komedię? Gdzie tu komedia? – oburzył się Borowski.
– Ma się rozumieć, trzeba to podcieniować, trochę dorobić fantazję. Wiesz co? Opowiem ci tę komedię.
Borowski spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem i obawą. Znał go i podejrzewał, że ma jakiś niesmaczny żart w zanadrzu. Tamten widocznie się w tym orientował i starał się jego obawy uspokoić.
– Wiesz, że jestem komediopisarzem zawodowym. Każdy zawód wytwarza odpowiedni nałóg. Moim nałogiem jest, że wobec każdej sytuacji stawiam sobie pytanie, jakby ją przenieść na scenę; każdą interesującą historię życiową przerabiam na komedię. Uważam się za artystę, więc nic nie kopiuję, i w mej wyobraźni twórczej rzecz może się zmienić do nie poznania. Otóż teraz, gdy opowiadałeś swą historię, słuchał jej we mnie twój serdeczny, wierny przyjaciel, ale zarazem słuchał komediopisarz. Słuchał i jednocześnie

tworzył. Komedia w ogólnych zarysach jest już gotowa. Pozwól mi podzielić się z tobą. Czuję tego potrzebę.

– Czy to nie będzie długie?

– Nie, bardzo krótkie.

Borowski milczał. Pawłowicz, biorąc jego milczenie za zgodę, zaczął mówić, żywo gestykulując i zapalając się coraz bardziej.

– Główne osoby: państwo Jóźwiakowie, Lota, ich córka, Leon, młody oficer, Pałkowski, ziemianin. Rodzice Loty są ludźmi powojennej formacji: ordynarni, ale już żyją na dość wysokiej stopie. On, przedsiębiorca, spekulant, zajmuje się energicznie interesami, prowadzącymi do majątku albo do... kryminału.

Borowski się poruszył.

– Nie zmienia to rzeczy, że Lota jest czarującą dziewczyną, słusznie uważaną za najpiękniejszą w Warszawie. Przy tym sprytna, energiczna, samodzielna, ambitna, panna sportowa – w całym tego słowa znaczeniu panna dwudziestego wieku. I, co nie tak często się zdarza, temperament pierwsza klasa. Młodzież za nią szaleje, a ona sobie drwi z wielbicieli.

– Jóźwiakowie marzą dla swej córki o najświetniejszej karierze. Sami przez nią mają nadzieję podnieść się na wyższy poziom towarzyski. Panna także ma swoje ambicje, chciałyby się wzniesć wysoko ponad styl domu rodzicielskiego.

– Ale Lota ma przede wszystkim temperament. Spotkała młodego oficera, który robi do niej oko, ale się jakoś nie stara zaciągnąć do grona jej wielbicieli. Oficer był ładny chłopak, wysoki, zgrabny, wybitny sportowiec – klasyczny bohater filmowy.

Borowski się skrzywił.

– Nie zapominaj, że to jest akt mojej twórczości. Ty mi dostarczyłeś tylko pomysłu.

– Leon wywarł na Locie silne wrażenie, a jednocześnie podrażnił ją swym spokojem, graniczącym z obojętnością. Kazała go sobie przedstawić i zmusiła do bywania w domu rodziców. Chłopak nie był z lodu: znalazłszy się w bliskiej odległości od tego wspaniałego ciała niebieskiego – chciałem powiedzieć – ziemskiego, wszedł w sferę jego przyciągania, stracił równowagę i pędził ku niemu z coraz większą szybkością – nic go nie mogło uchronić od spadnięcia na nie... Przepraszam, wpadłem w porównanie zanadto kosmiczne.

– Nie trzeba przy tym zapominać, że był to sportowiec i prawdziwy żołnierz – potencjalny zwycięzca. Spostrzegł, że od pierwszej chwili wszystkich wielbicieli Loty położył na obie łopatki. Triumfował, był dumny ze swego zwycięstwa. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele w szczęściu miłości jest zadowolenia miłości własnej.

– Jóźwiakowie próbowali wyrzucać córce, że się angażuje w stosunku do jakiegoś gołego oficera. Ale Lota miała swoje zdanie. Powiedziała im: ten i żaden inny. Wszyscy razem wzięci nie są jego warci. Zresztą, nie jest on byle kim. Choć bardzo młody, jest już pułkownikiem, a wszyscy o nim mówią, że zajdzie wysoko. On jej da pozycję, a gdy tatko da pieniądze, będzie wszystko dobrze. Rodzice nie bardzo umieli opierać się Locie. Mama, co prawda, nosem kręciła, ale ojciec przyznał, że Leon ma przed sobą karierę. Przedsiębiorczy Jóźwiak nawet zaczął snuć plany: później związek z wojskowym na wysokim stanowisku przyda mu się w jego stosunkach z armią. Mogą razem robić interesy...

Borowski zrobił mimo woli ruch protestujący, ale nie przerywał.

– Lota zażądała, żeby jej rodzice nie przeszkadzali. Za ich zgodą, przebywała całe godziny sam na sam z Leonem. Ten wyemigrował z rzeczywistego świata do raj. To świeże, pachnące ciało, namiętne pocałunki, długie, nie mające końca...

– Antek – krzyknął Borowski.

– Zapaliłem się – rzekł Pawłowicz. – Nie masz pojęcia, jak twórca umie się zapalić do dzieła swej wyobraźni. Posłuchaj, jeszcze chwilę – zaraz będzie koniec.

– Leon wszakże zrobił głupstwo. Wystąpił, czy dał się wyrzucić z wojska. Józwiak był wściekły, Józwiakowa szyderczo triumfująca. Nasiedli na Lotę, ale ona stawiała im czoło odważnie. Na wszystko odpowiadała, że tylko Leona może kochać. Powtórzyła to sto razy...

– Wreszcie Józwiak zaczął przemawiać córce do rozsądku, do ambicji. Jak się uprze, to może wyjść za Leona, ale co dalej? Jeszcze pierwsze lata, a może miesiące tylko gorącej miłości... a potem co? żona wykolejeńca... bez pozycji... bez żadnej roli... Wszystkie te, które jej dziś zazdroszczą, będą patrzyły na nią z góry...

– Lota zastanowiła się. Po kilku dniach walki ze sobą powzięła decyzję. Spośród swoich wielbicieli wybrała tego, który miał najlepszą pozycję towarzyską, był najbogatszy, najmocniej był w niej zakochany i... najmniej w jej oczach był mężczyzną. Oświadczyła rodzicom, że wyjdzie za niego, i zażądała, żeby ślub się odbył w jak najkrótszym czasie. Skończyło się wszystko dobrze.

– Jak to dobrze? – mimo woli zapytał Borowski.

– Tamten został mężem Loty, a Leon jej kochankiem.

– Zabawna komedia – mruknął ironicznie Borowski – ale trzeba iść spać. Jestem ogromnie zmęczony.

Dźwignął się ciężko, założył w tył ręce i zaczął dużymi krokami chodzić po gabinecie, gdy tymczasem komediopisarz płacił rachunek.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI